

Gość Niedzielny



Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na Niedzielę czwartą po Wielkiejnocy

Lekcja.

Jak. I. 17—21.

Najmilsi! Wszelki datek dobry i wszelki dar doskonały, z wysoka jest zstępujący od Ojca światłości, u którego niemasz odmiany, ani zaćmienia przemiany. Dobrowolnie bowiem porodził nas słowem prawdy, żebyśmy byli niejakim początkiem stworzenia jego. Wściecie Bracia moi najmilsi. A niech wszelki człowiek będzie prędki ku słuchaniu, a leniwy ku mówieniu, i leniwy ku gniewowi. Bo gniew męża nie sprawuje sprawiedliwości Bożej. Przeto odrzuciwszy wszelakie plugastwo i obfitość złości, przyjmijcie w cichości słowo wszczepione, które może zbawić dusze wasze.

Evangelja.

Jan XVI. 5—14.

Onego czasu rzekł Pan Jezus uczniom swoim: Idę do tego, który mię posłał; a żaden z was nie pyta mię; dokąd idziesz? Ale iżem to wam powiedział, smutek nappełnił serce wasze. Aleć ja prawdę wam powiadam: pożytecznie wam, abym ja odszedł. Bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was; a jeśli odejdę, poślę go do was. A on gdy przyjdzie, będzie karał świat z grzechu, i z sprawiedliwości, i z sądu. Z grzechu, mówię, iż nie wierzą we mnie. A z sprawiedliwości, iż do Ojca idę, a już mię nie ujrzyście. A z sądu, iż księżę tego świata już jest osądzony. Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nuczyci was wszelkiej prawdy. Bo nie sam od siebie mówić będzie; ale cokolwiek usłyszy mówić będzie; i co przyjąć ma, oznajmi wam. On mnie uwielbi, bowiem z mego weźmie, a wam opowie.

Bądź pochwalona!

Zwykłą koleją czas ciągle goni
I za miesiącem miesiąc przemija,
O Ty, cnót lilio o cudnej woni
Bądź pochwalona, święta Marya!

Tobie to słowik głosi swe pienia,
Dla Ciebie kwiecie kielich rozwija,
Ku Tobie dążą dusz uwielbienia:
Bądź pochwalona, święta Marya!

Tobie pacierze szemrzą ruczaje,
Dla Ciebie słońko w górę się wzbija,
Wielbią Cię wszystkie narody i kraje:
Bądź pochwalona, święta Marya!

A jeśli jeszcze są serca-skały,
W których się miłość Twa nie przebija,
O, skrusz je Matko — i niech świat cały
Wielbi Cię wiernie, święta Marya!

Jeśli są jeszcze dusze-kamienie,
Którym Tyś obcą — i wiek im mija,
Rozprosz o Matko błędny mrok, cienie
I niech Cię wielbią: święta Marya!

Matko, zwaśnione pogódź narody,
Jeden drugiemu niech jak brat sprzyja,
Niech za Twą sprawą staną do zgody
I niech Cię wielbią: święta Marya!

Paula Wężyk.

Miesiąc Maryi

W kościółku pełno woni... kwiaty ją ślą majowe,
A słońko złote wpada przez okna kolorowe...
I barwne wiesza tęcze po starym szarym murze,
A pieśń „Serdeczna Matko” brzmi na kościelnym chórze...
Przed ołtarz Maryi spieszą starzy i pacholeta,
A Ona patrzy na nich tak słodko uśmiechnięta.
Jakby powiedzieć chciała: „przyjdźcie tu do mnie
dziatki...”

Gdy was co boli, smuci, jak do rodzonej matki...
Jam uzdrowienie chorych, ucieczka utrapionych...
Jam siła i wytrwanie cierpiących i zgębionych...
Wonne kadzidła dymy wzbijają się ku górze,
Litania do Maryi brzmi w pełnym zgodnym chórze
I spływa radość w serca i ulga i pociecha...
A Matka Przenajświętsza wciąż słodko się uśmiecha.

Jan Regulus.

Córka Pilata

Onego czasu wielkorządcza Damaszku Klaudyusz Ri-
dux, był wielce zasmucony. Jego piękna małżonka Po-
pea, córka Pilata Ponckiego, który władał w Jeruzalem
w imieniu cesarza, została dotknięta straszną chorobą —
paraliżem.

Już dwa lata minęły, jak ją nawiedziła straszna ta kłeska i nie było żadnej nadziei wyleczenia. Napróżno małżonek jej sprowadzał z dalekich stron lekarzy, cudotwórców, uczonych, aby ją uleczyli sztuką swoją. Umiejętność ich, wysiłki, starania i doświadczenia okazały się bezsilnymi wobec upórcozwej choroby, przykuwającej piękną Rzymiankę do łóża boleści.

Nakoniec przybył pewien pielgrzym z Jeruzalem i przyniósł wiadomość, iż zjawił się w ziemi Judzkiej cudowny czarodziej, Jezusem Nazareńczykiem zwany. Dokonywa on cudów z chorymi: stawia na nogi paralityków, wracając im zdrowie i poprzednie siły, niewidomym wzrok przywraca, a nawet umarłych wskrzesza.

Uradowała się tą wieścią Popea i zawołała: Udam się, udam się do tego czarodzieja! Szczodrze mu zapłacę drogocennymi kamieniami, oddam swój cenny naszyjnik z zielonych dyamentów, którego wartość jest wyższą od cen pięciu miast ludzkich, byleby mnie uzdrowił.

Lecz pątnik jej powiedział: Przepiękna Popeo! To wszystko nie ci nie pomoże, wobec Nazareńczyka. On sm chodzi obdarty i bosy, obcuje tylko z biedakami, pogardza wszystkimi marnościami tego świata i choćbyś mu zanosła te wszystkie bogactwa, nie zyskasz sobie jego względów.

— Cóż więc mam robić, aby mnie uzdrowił? zawołała zaniepokojona chora.

— Od chorych, którzy do niego przychodzą po zdrowie, żąda on tylko jednego: aby w niego wierzyli...

Zdziwiła się Popea temi słowy, a potarłszy czoło białą ręką, na której błyszczały drogocenne kamienie, zapytała znowu:

— Aby w niego wierzyli? A jak wierzyć?

— Wierzyć, że on jest synem Bożym.

— Synem Bożym! Tego ja nie rozumiem.

I długo jeszcze badała pielgrzymka. Wiele dni i nocy Popea przepędziła na rozmyślaniach a patrząc na swoje pokurczone członki i kwiecie wieku swego, zalewała się łzami, jak dziecię. Lecz w jej duszy coraz wyraźniej i jaśniej zarysował się obraz tajemniczego, nieznanego czarodzieja, który kazał się nazywać synem Bożym, i który może sprawiać cuda przechodzące granicę pojęć ludzkich; jednocześnie z tem powiększało się w jej sercu pożądanie powrotu do zdrowia, do sił młodości, jako też niecierpliwość spotkania się z tym cudownym człowiekiem; gotowa była nawet uwierzyć w jego bóstwo.

— Jeżeli on duchem i siłą stoi tak daleko od ludzi, musi być bliskim bóstwa.

Nasi bogowie nie chcieli mi pomódz, niech doświadczę więc siły tego Boga, którego Nazareńczyk zwie się synem.

I wiara rosła w jej duszy.

Popea postanowiła udać się do Jeruzalem, gdzie, jak jej mówiono, najłatwiej spotkać może Jezusa. I po trzydniowej podróży, drogą, która się wije po wschodnich pochyłościach gór Libańskich, pokrytych olbrzymimi cedrami, Popea przybyła do Judzkiej ziemi, a czwartego dnia koło południa minawszy na północ dolinę Józafata, stanęła w Jeruzalem.

Było to przed samą żydowską paschą. Kierując się ku północnej bramie miasta, zobaczyła masy ludu wychodzącego i oddziały rzymskiej koniecy. Cały ten tłum kierował się ku zachodowi, ku bliskiemu całemu wzgórz.

Popea patrzyła na ten pochód, nie rozumiejąc jego celu. Przed samą bramą miasta spotkała na koniu setnika, który wraz z żołnierzami postępował za tłumem.

Kazała się zatrzymać i zapytała setnika, dokąd te tłumy idą.

Na tem tam wzgórzu ukrzyżowanym będzie osadzony na śmierć, burzyciel spokoju publicznego, Jezus Nazareńczyk! — odpowiedział on, kłaniając się nisko świętej córce Pilata.

— To być nie może! Nie może być! — zawołała przerażona Popea. — Niech wstrzymają wykonanie wyroku! Żądam tego!

Lecz oficer oświadczył, że tylko Pilat może zmienić swój rozkaz. Lecz zanim mogłoby się otrzymać to odwołanie, to przestępca będzie już ukrzyżowanym.

A Popea, wzburzona i zrozpaczona, zwróciła oczy ku Golgocie, gdzie się przygotowywało coś strasznego...

Zanieście mnie tam prędzej! On nie powinien umrzeć! — wołała na swych ludzi. I prędko znaleziono lektykę, gdyż do szczytu kamienistego wzgórza kołasa dojść nie mogła.

Kiedy osiągnięto szczytu, Popea z przerażeniem spostrzegła trzy stojące krzyże, a na każdym z nich wisiał rozpięty człowiek. Los się już spełnił.

Na rozkaz Popei usunięto tłumy, otaczające krzyże, wrzeszczące i najgrawające się z ukrzyżowanych i postawiono lektykę w bliskości.

Pod środkowym krzyżem klęczała skulona niewiasta żydowska, a obok niej dwie inne zalane łzami, z rękami załamanymi z boleści, wpatrywały się w męczennika, któremu z ran na rękach i nogach ciekły czerwone strugi krwi.

Popea milcząca, nieruchoma utkwiała z boleścią oczy w cierpiącym licu Chrystusa, w którego łagodnych rysach wyryte były straszne męki ukrzyżowania.

I z twarzą załaną łzami, razem z drugimi niewiastami patrzyła na ukrzyżowanego. Biedna Popea starała się spotkać wzrok Tego, który pomimo strasznych, nie dających się opisać cierpień cielesnych przez mgłę niewymownego bólu, świecił zorzą słodyczy i łagodności. Lecz oczy Chrystusa, utkwione w płaczącą matkę, ani razu nie zwróciły się ku Popei.

— Zbaw mnie! — szepnęła ona, nie spuszczając wzroku z twarzy Chrystusa.

Nagle łagodne spojrzenie Chrystusa przeniosło się z matki pod krzyżem na Rzymiankę.

I wzrok Rzymianki i Chrystusa spotkał się. I bez mgnienia oka spoglądał On na nią tak łagodnie, boleśnie i głęboko... I naraz pod siłą tego wzroku, który przeniknął jak iskra niebiańska całe jej jestestwo, poczuła ona jakieś głębokie wewnętrzne wstrząśnienie i coś nowego słodkiego, dobrego napełniło jej duszę i ciało.

* * *

Pilat oczekiwał na chorą swą córkę na najwyższym stopniu marmurowych schodów swego pałacu, uprzedzony o jej przybyciu, pełen zdumienia i trwogi, gdyż cel jej przybycia był mu nieznanym.

Widząc ją zbliżającą się w kolasie z twarzą rozżaloną, wyciągnął ku niej ramiona, aby, gdy ją wniosą na górę, mógłby ją przycisnąć do serca.

Lecz zdumiony Pilat zobaczył jak Popea sama wyszła z kolasy, ruchem nakazującym oddalając jego sługi, którzy jej ofiarowali zlocistą lektykę i sama występowała na marmurowe schody krokiem lekkim jak gazella Libanu...

A rzuciwszy się na szyję osłupiałego z podziwu ojca, zawołała szlochając:

— Ojcze! ty dziś Boga zabiłeś!

Arcybiskup-Męczennik

(Ciąg dalszy)

Wielkie dni dziejowe.

Nie tylko godnością najwyższą, ale i wiekiem najstarszy krzepił wszystkich oskarżonych arcybiskup, obraz prawdziwego wyznawcy Chrystusowego z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Oto jaki portret jego maluje angielski pisarz:

„Arcybiskup Cieplak, wódz naczelny rzymskiego legionu w Moskwie, jest wysokiego 1) wzrostu, szczupły, siwy lecz nie lisy, o krzaczastych brwiach i zmęczonej, poranej twarzy. W ciągu ostatnich pięciu lat zestarzał się tak dalece, że trudno go poznać na fotografii z roku 1917. Ale zmieniła się tylko twarz, która na początku procesu czyniła wrażenie bardzo steranej; postać arcybiskupa pozostała prosta jak lanca, umysł odznacza się jasnością, wymowa jego jest bardzo wyraźna — bolszewicy pisali o jego „kulturalnej, polerowanej“, a nawet „słodkiej i gładkiej wymowie“. — Przez cały czas procesu ubrany był w fioletową piuskę, fioletowy pas i krzyż biskupi i mimo gwałtownych napaści Krylenki zachował całą dostojną powagę i kurtuazję. (Mc. Cullagh, op. cit. str. 166).

Jak arcybiskupa kochano i szanowano świadczyły tłumy klęczące na dworcu w Petersburgu, kiedy go wywożono i zachowanie się polaków na sali sądowej, którzy przy każdym wejściu zwierzchnika swojego wstawali z miejsc, mimo, że przez to wpadali w argusowe oczy zbirów bolszewickich.

W tych pamiętnych dniach po Dominica Passionis przypominał ten nowoczesny sąd nad katolickim arcybiskupem i jego towarzyszami starodawny a ciągle bliski nam sąd nad Chrystusem. Podobnie jak Jezusa z Nazaretu obwiniano przed Pilatem o to, że „podżęgo lud“ i zasądzony na śmierć, podobnie i jego sługę w 20 wieku, obywatela Cieplaka pomawiano o knowania kontrrewolucyjne. Wyraźnie głosił w swej wściekłości rozedrganą mowę, dysząc nienawiścią do katolicyzmu prokurator Krylenko: „Dwaj z nich — Cieplak i Budkiewicz — byli inicjatorami i organizatorami kontrrewolucyjnej akcji wszystkich oskarżonych, cały więc ciężar odpowiedzialności spada na nich. Cieplak był mózgiem, kierującym tą kontrrewolucją, Budkiewicz to istotny jej wódz, organizator, duch przewodni, a poza tem to agent obcego mocarstwa — Polski, której rządowi przesłał wyrazy wierności. Ci dwaj powinni ponieść karę najwyższą. Żądam jej dla oskarżonego Cieplaka. Książę, cała jezuicka dwulicowość, z którą pan się bronił, nie uratuje pana od śmierci! Żaden papież w Watykanie nie uratuje was teraz!“

Na nie się już teraz nie zdała szczerza mowa obronna arcybiskupa, który m. in. otwarcie powiedział:

„Nawet myśl o kontrrewolucji nikomu z nas nie powstała w głowie. Byliśmy przez cały czas lojalnymi obywatelami R. S. F. S. R. i stosowaliśmy się w granicach możliwości do dekretów rządu. Radowaliśmy się z proklamowania wzniosłej zasady wolności sumienia, ponieważ od tej chwili wolno nam było żyć zgodnie z prawami naszego Kościoła, co nam utrudniano za czasów carskich.

... Całem naszym usiłowaniem było głosić i naszym własnym życiem dawać świadectwo tej Boskiej prawdy, która oto od dwóch tysięcy lat była światłością świata, którą najgłębsze ludzkie umysły uznawały za prawdę i która doprowadziła ludzkość do jej najwyższego rozwoju. I oto w nagrodę za nasz trud i wysiłek

1. Autor się myli — był średniego wzrostu.

postawiono nas przed sądem i oskarżono o spisek kontrrewolucyjny.

I moi towarzysze i ja z oburzeniem zaprzeczamy podobnemu oskarżeniu. Czynności nasze nie miały bynajmniej charakteru kontrrewolucyjnego.

Dzisiaj stoję przed trybunałem doczesnym i niezadługo może stanę przed Bożym. Nadzieją moją jest, że trybunał ziemski wymierzy mi sprawiedliwość tak jak mój Niebieski Sędzia okazać mi raczy miłosierdzie“.

Słowa te godne światobliwych męczenników staro-chrześcijańskich, w prostocie, mocy i szczerości swojej niepojęte skruszyłyby zda się głazy, ale nie zdołały zniechęcić w ogniu piekielnej nienawiści zahartowanych serc bolszewickich.

Podobnie bez skutku były świetne mowy obrońców młodego Kommodowa i starego Bobriszczewa-Puszkina. Po czwartej mowie krwiożerczej Krylenki sąd wydał o północy 25. marca wyrok śmierci na arcybiskupa Cieplaka i prałata Budkiewicza przez rozstrzelanie. Wyroku wysłuchał arcybiskup jak i jego towarzysze w „postawie stojącej, bez jednego drgnienia, gestu lub zmiany wyrazu twarzy“.

Wzruszającą była scena, kiedy po ogłoszeniu wyroku kilka kobiet-Polek padło na kolana z krzykiem przeobrażenia, poczem zerwawszy starały się dotrzeć do swego pasterza podobnie jak jego stary sługa, wiernie trwający przy panu. Żołnierze brutalnie odepchnęli szlachetnych ludzi. A arcybiskup stał niewzruszony w swym męstwie i błogosławił klęczących. Wtedy go żoldacy otoczyli i uprowadzili.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MARJA KONOPNICKA

Nasza szkapa

(Ciąg dalszy)

— I cóż ja se mam myśleć, mój Filipie... Myślę, że nas Bóg ciężko dotknął tą chorobą. Myślę, że ci się kamieniem u szyi stała i do dna cię ciągnę... O tych sierotach myślę...

Zakryła oczy ręką i zaszlochala głośno. Ojciec całował ją po głowie.

— Anulka!... Serce!... Anulka!... — powtarzał aż nagle sam ryknął płaczem.

— Siarczyste!... — mruknął za nią Felek, wycierając oczy kuliakiem.

Kilka dni minęło, a o sprzedaniu szkapy nie było jakoś mowy.

Matka miała się coraz gorzej. Jej ciężki, chrypiący kaszel z twardego snu dziecięcego po nocy nas budził. Raz wraz też zasypiała we dnie, a mimo że nagle ciepło na świecie zrobiło, febra ją chwilami trzęsła, aż zęby szczękały. Ojciec chodził po izbie zgarbiony, żółty, jakby mu z dziesięć lat życia przybyło, a rękę na nas twardą miał o byle co do czubów nam sięgał, ale żeśmy się tam wiele nie nastęrczali, dużą część dnia spędzając w stajence.

Od kiedy zagroziła nam możność utracenia szkapy, stała się nam ona podwójnie drogą. Rozrzewniało nas teraz każde jej parsknięcie, każde ruszenie ogonem.

— O... je! — wołał Piotruś, wpatrzony w nią z zachwytem, gdy zanurzała w żłobie łeb swój wielki, a podniósłszy go, żuła gołą sieczkę, mrużąc zdrowe oko.

— O... pije! — wołał, gdy łeb wsadzała do starego wiaderka, aby żłopnąć raz i drugi wody, którąśmy jej przynosili własnoręcznie.

Ja i Felek siadaliśmy z obu jej stron na żłobie i, machając nogami, przyglądaliśmy się całymi godzinami każdemu jej ruchowi.

Ziemniaki nawet, któreśmy teraz już codzień bez okraszy mieli, tuśmy przynosili, aby razem ze szkapą obiad jeść, chociaż dzielić się z nią nie było czem, bo nam samym jakoś się coraz szczupłej dostawało.

Weselej też było w stajence, niż w izbie, bo słońce w same zęby świeciło tu nam przez drzwi, na ścieżaj otwarte, a do suteryny od naszego kąta, jak rok długi, nie zajrzało nigdy.

— Ależ tu zimno u was! — mówił pan doktor, zachodząc do matki. — I wilgoć straszna! Powinniście się postarać o suchą i ciepłą izbę dla żony — dodawał, gdy go ojciec wyprowadzał do sieni — żona wasza nie może w takiej izbie leżeć. Powietrze fatalne, zgniłe, żadnej wentylacji, żadnego światła. Powinniście przecież dbać o kobietę, kiedy chora. Z nią coraz gorzej i musi być gorzej w takich warunkach.

Ojciec gryzł wasy i milczał ze spuszczoną głową.

— Mlekaby też jej trzeba świeżego, mięsa, wina kieliszek czasem... Tu lekarstwa nic nie poradzą, tu dyetę trzeba posilną prowadzić...

Poszedł już, już i na drugą ulicę skreślił, bom patrzył za nim, a ojciec precz jeszcze w sieni stał, w ziemię patrzył i wasy gryzł.

Aż nagle się poruszywszy, koszulę na piersiach szarpnął, woreczek ze szkaplerzem rozerwał, i dobywszy z niego srebrny pieniądz z Matką Boską, mnie po węgle i po mleko posłał, przykazując, żebym nie powiadał matce, jak i skąd.

Nazajutrz w południe zabieraliśmy się właśnie do przedstawienia i już się Felek na szkapę gramolił, gdy nagle ojciec do stajenki wszedł, a za nim pan Łukasz Smolik, chrześny Piotrusia naszego, dorożkarz z Pragi. Zaraz mnie coś tknęło, więc szturchnąłem Felka, i obaj stanęliśmy, jak trusie.

Pan Łukasz, próg przestąpiwszy, bat swój w kacie postawił, ogromny kościsty nos w połę kapoty granatowej utarł i, wyciągnawszy chudą długą szyję, tabakę zwolna zażywał. Człowiek to był już stary, wysoki i dobrze zgarbiony; oczki miał małe, czarne, świdrowate, brwi krzaczące i chudy, zarastający od spodu podbródek. Pod jego kościstym nosem sterczały żółte, saperkie wasy, którymi, biorąc tabakę, jak królik, poruszał. Z pod wielkiej granatowej czapy wyglądały sine, białawym puszkciem porośnięte uszy, z których prawe ozdobił srebrnym kołczykiem. Do nas zaglądał pan Łukasz rzadko, choć go kumoterstwo z nami łączyło; mówiła o nim matka, że kutwa, że na groszach siedzi; czasem znów przepowiadała, że wszystko Piotrusiowi zapisze, bo wdowiec bezdzietny był.

Kiedyśmy się tak, oniemiawszy nagle, przypatrywali panu Łukaszkowi, ojciec — jakby nas nie widział — do żłobu prosto poszedł, szkapę odwiązał i po zadzie ją dłonią uderzył.

— A no, stara! — zawołał obracając ją łbem do światła. Szkapę zmrużyła zdrowe swoje oko, a ślepem, osłupiałem, szeroko otwartem, zdawała się patrzeć gdzieś daleko, daleko.

Pan Łukasz, szczyptę tabaki u nosa trzymając, zaczął się słodko uśmiechać, a przekrzywiwszy głowę, patrzył na szkapę to z lewej, to z prawej strony.

— He!... He!... He!... A co to kumeczek przedawać chcesz?... Skórę czy kości?

Spojrzał ojciec posępnie z pod oka, i zaraz mu się wasy podniosły, ale przełknął tylko ślinę i rzekł:

— Skóra i kości zarobią u was, kumotrze, na mięso. Byłe temu pochlebić trochę owsem, to to będzie, jak kłuska, okrągłe.

— A bodaj też kumeńka!... — rozśmiał się pan Łukasz! — Pochlebić! Pochlebić! Ale to owies drogi tera-

kumeńku. Pięć złotych ćwiarteczka, kumeńku! I siano też drogie...

— A drogie — rzekł obojętnie ojciec, ale widziałem, że mu się oczy zapaliły.

— Nastap! Noga! Ano!... — zawołał, uderzając szkapę, która przestąpiła wlokące się za nią postronki.

— He!... He!... He!... — rozśmiał się słodziej jeszcze pan Łukasz. — I szpacik, widzę, jest...

— A jest! — odparł ojciec krótko, suchym głosem.

Pociągnąłem Felka za rękaw, jako, że bezpieczniej mi się zdało bliżej drzwi się trzymać, ale mnie tylko łokciem pchnął i szeroko otwartymi oczyma to na ojca, to na przybyłego patrzył.

— U-u-u... szpat psia... — mówił tymczasem pan Łukasz, wyciągając obrastający podbródek z żółtej bawełnianej chustki. — U-u-u... szpat!... i ustami cmokać zaczął. Nie wyjdzie już ona z niego, nie! — dodał, wciągając niuch tabaki i kiwając głową.

Ojcu podnosiły się wasy coraz wyżej, aż je ręką w dół szarpnął.

— Ja jej tam kumotrowi nie wpieram! — rzekł, patrząc w ziemię. — Dla mnie ona i ze szpatem dobra! Żeby nie choroba kobiety, tobym kobyły pewno nie puszczał między ludźmi! Toć żywicielka nasza.

Pan Łukasz zmilczał, a schyliwszy się, dłonie na kolanach oparł i po nogach szkapie patrzył.

— Łogawa może?... He?... He!... He!... — rozśmiał się pytająco.

— Łogawa! Ta kobyła łogawa! — krzyknął ojciec, a już cały stał w ogniach. — Żeby mnie tak Bóg skarał, jak ona łogawa! Pokaż, kumoter?... Gdzie ona łogawa.

— No., no!... — uśmiechnął się słodko pan Łukasz — ja też tylko się pytam, boć to przy kupnie konia, jak przy żeniacze: czego nie dopatrzysz okiem, to dopłać cisz workiem...

— Ja ta nie machlerz! — rzekł porywczo ojciec, a już mu ręce latać zaczęły. — Ja ta nikogo omachlować nie chcę! Co prawda, powiem, a co nieprawda — nie.

— A co ona?... ślepa?... — zapytał nagle prostując się pan Łukasz i, rozsunałszy palcami zmartwiałą powiekę szkapę, z bliska jej w oczy zajrzał.

Poruszył się Felek, a przestąpiwszy z nogi na nogę, szczyptał mnie w słabiznę, tak, żem omal nie wrzasnął.

— A ślepa — odrzekł na podziw spokojnym głosem ojciec, choć znów mu się wasy zjeżyły.

— Na lewe oko ślepa. Takem ją już kupił i taka je. U mnie ta nie oślepla.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rozmaitości

Bojkot aktorki, która nie chciała występować w kościele

W Leningradzie miało miejsce w tych dniach ciekawe zdarzenie. W „Domu starej i młodej gwardji“ odbyć się miało z inicjatywy komisji oświatowej przedstawienie teatru Studja, należącego do aktorki L. Timeowej. Kiedy dyrektorka teatru dowiedziała się, że przedstawienie ma się odbyć w budowie, w której dawniej znajdował się kościół, odmówiła kategorycznie w przedstawieniach tych wziąć udział, i odwołała ogłoszone już przedstawienia. Wkrótce po tym opublikowany został w pismach leningradzkich list administratora domu „Starej i młodej gwardji“, który między innymi oświadcza, że postępowanie Timeowej znajduje się w sprzeczności z godnością artystów i obywateli sowieckich, i że wobec tego należy względem teatru Studja zastosować energiczny bojkot.